

*Mika  
Waltari*

KTO ZABIŁ  
PANIA  
SKROF?

Tytuł: *Komisarz Palmu. Tom 1. Kto zabił panią Skrofin?*  
Autor: Mika Waltari

Wydawnictwo: Nemezis

Tytuł oryginału: *Kuka murhasi rouva Skrofin?*

Copyright © The Estate of Mika Waltari  
First published in Finnish with the original title **Kuka murhasi rouva Skrofin?** in 1939 by Otava, Helsinki, Finland. Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights Finland and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland.

Copyright for this edition © 2025 by Wydawnictwo Nemezis  
© Copyright for the Polish translation by Sebastian Musielak

Przekład: Sebastian Musielak  
Projekt okładki i ilustracje na okładce: Klaudia Faber

Opieka redakcyjna: Waldemar Popek  
Redakcja: Anna Milewska-Grzyb

Korekta: Weronika Kosińska, Urszula Srokosz-Martiuk, Doroa Trzcinka,  
Agnieszka Kiersnowska

Layout: Anastazja Tabor  
Skład i przygotowanie do druku: Marcin Matlak

Wydanie I  
ISBN: 978-83-8394-848-5  
ISBN e-book: 978-83-8394-849-2  
ISBN abonament: 978-83-8394-850-8







# 1.



Pracownica poczty, pani Hallamaa, idzie po mleko, a żona dozorczy ma paskudny katar.

• Dziarski listonosz czyni obserwacje, i Pentti Lanne alarmuje posterunkowego Arę. • Gaz!

Czuć gaz!



Pracownica poczty, pani Hallamaa, pierwsza wspomniała o tym na głos. Kiedy wybiła godzina ósma rano, wyszła z klatki 8 A przy ulicy Nabrzeżnej z kanką na mleko w ręku. Na jej chudych nogach kląskały znoszone pantofle, poranny strój owinęła obyczajnie płaszczem. Stanęła przy żonie dozorczy, która z wypisaną na twarzy pogardą dla całego świata zamiatała właśnie chodnik przy podeście, i rzekła niemal radośnie:

— Na schodach okropnie czuć gaz. Aż głowa boli!

Wiosenne słońce wyrzało na kobiety zza prześwieltonych chmur, żadnej jednak nie poprawiło to nastroju. Żona dozorczy jeszcze mocniej ścisnęła miotłę i tylko nieznacznie przesunęła zad, by przepuścić starą pannę, a z kącika jej ust wymsknęło się ni to pozdrowienie, ni to kichnięcie: „bry”.

Pani Hallamaa nie zamierzała jednak poprzestać na tej mizernej wzmiance. Stała dalej, ważąc wymownie kankę w ręku.

— Głowę miałam dziś rano taką ciężką, zupełnie jak kamień. — Nie dawała za wygraną. — Ten okropny smród gazu, fuj!

Żona dozorca wyprostowała nareszcie plecy i wsparła się na miotle. W jej zażawionych oczach malował się wyraz znużenia. Niuchnęła poczerwieniałymi nozdrzami.

— Ja tam nic nie czuję — rzuciła na odczepne, niemniej tytułem wyjaśnienia dodała po chwili: — Widzisz pani, katar mam. Nos zupełnie zatkany. Byle to nie była grypa!

Po czym pochyliła się znów nad swoją pracą, unosząc zad jak wykrzyknik w manifestie ludzkiego męczeństwa. — Ojoj, to nie-dobrze — powiedziała pani Hallamaa.

— Ta wiosenna pogoda jest taka zdradliwa.

Westchnęła ciężko, jeszcze ciaśniej owinęła płaszcz na szlafroku i nie znalazłszy pociechy u dozorczyńni, ruszyła do sklepiku z nabiałem, żałośnie kłaskając pantoflami po zakurzonym asfaltowym chodniku.

Kiedy w drodze powrotnej wyszła zza rogu kamienicy, stąpając ostrożnie, by nie rozlać mleka, żona dozorca wyciągnęła już wycieraczkę z podestu klatki schodowej i trzepała nią o latarnię przy wejściu z taką wściekłością, że jęczący metalowy słup zniknął w chmurze pyłu. Z jej ściągniętej twarzy bez trudu można było wyczytać, gdzie tego ranka żona dozorca ma przepisy porządkowe i opinię publiczną w ogóle. Z podwórza wyszedł właśnie dozorca i wsparłszy się na miotle, z papierosem w kąciku ust i podziwem na twarzy przyglądał się energicznym poczynaniom swojej ślubnej.

Pani Hallamaa zatrzymała się na stopniu przy klatce i zaczęła demonstracyjnie węszyć.

— Pan też nic nie czuje? — naskoczyła na dozorcę. Krótka pogawędka ze sprzedawczynią nabiału pobudziła jej siły życiowe i rozproszyła poranną senność.

Dozorca pociągnął nosem, nie wyjmując nawet papierosa z ust. Pociągnął jeszcze raz, po czym potakująco kiwnął głową. Wiadomo — stara panna zawsze musi się na coś skarżyć. A to kaloryfer nie działa, a to napalone za bardzo, a to na schodach przeciąg, a to na klatce śmierdzi stęchlizną.

Pani Hallamaa była już poirytowana.

— Okropnie śmierdzi gazem! — parsknęła.

Tym razem dozorca wyjął papierosa z ust i zaczął niuchać powietrze płynące z klatki schodowej.

— Taa — rzekł wreszcie belferskim tonem. — Ja bym bynajmniej powiedział, że to znów się zapchała rura ściekowa. — Zerknął na kobietę i szybko się poprawił: — Ale równie dobrze może to być gaz. Rury puszczają.

— Więc proszę to naprawić! — wypaliła kobieta ze złością.

Dozorca rozłożył ramiona i wzniosł oczy do nieba, jak gdyby chciał powołać na świadka samego Pana Boga. — Trzeba by remont całej instalacji zrobić — rzekł głosem człowieka cierpiącego za cudze przewiny. — To stary dom. A remont kosztuje. Dla tej jędzy... — Wzdrygnął się i rozejrzał szybko, a gdy stwierdził z ulgą, że nikt nie podsłuchuje, odważnie podjął wątek: — Dla tej jędzy mieszkańcy całej kamienicy mogliby sobie nawet zdechnąć od tego gazu, byle ona mogła jeszcze więcej uciuć. Tylko komisja zdrowia...

W tym momencie dozorca uznał, że więcej nie musi mówić, więc tylko wzruszył ramionami i skinął głową w prawo i w górę, aby nie było wątpliwości, że jego słowa dotyczyły właścicielki kamienicy,

starej pani Skrof, która mieszkała na ostatnim piętrze, zaraz nad panią Hallamaa. Ta z racji owej bezceremonialnej „jędzy” poczuła niejaki zadowolenie i lekko się zaczerwieniła. Nie licowało to jednak wcale z jej godnością, więc z uprzejmą przyganą w głosie rzekła:

— Pani Skrof w istocie jest trochę za bardzo... hm... oszczędna. To ją może drogo kosztować.

Te instynktownie zaakcentowane słowa nie miały znaczyć nic ponad to, że kiedyś miarka może się przebrać i mieszkańcy kamienicy zaczną się po kolei wyprowadzać; pani Hallamaa uznała po prostu, że owa zagadkowa myśl dobrze się nadaje na zakończenie rozmowy. Z dumnie uniesioną głową wyminęła dozorcę i podreptała w klaskających pantoflach do wejścia. Przypomniała sobie swoje słowa dopiero po południu, kiedy usłyszała o tym, co się stało, a wtedy rozwarła szeroko oczy z przerażenia i przycisnęła dłoń do ust, jak gdyby chciała stłumić krzyk. Lecz przecież jej słowa w istocie nie znaczyły nic.

Po odejściu pani Hallamaa żona dozorczy położyła wycieraczkę na miejsce i — prostując plecy — spojrzała na męża. Kiwnęła znacząco głową za kobietą i rzekła jadownicie:

— W głowie się jej pomieszało! Rozum odjęło! Brak jej chyba piątej klepki! Ten wybuch przyniósł jej wyraźną ulgę w katarze, więc gdy wymienili z mężem spojrzenia wyrażające głębokie, obopólne zrozumienie, prawie się uśmiechnęła. Dozorca czule trącił żonę w plecy kijem od miotły i zawtórował:

— Gaz jej śmierdzi! Cha, cha!

Śmiejąc się, instynktownie zaciągnął się głębiej powietrzem i twarz mu spochmurniała. Na klatce schodowej naprawdę śmierdziało gazem.



Godzinę później do klatki 8 A dziarskim krokiem wmaszerował listonosz. Pozdrowił radośnie dozorcę, który z małej konewki polewał chodnik, i żwawym krokiem ruszył po schodach. Jego ciąga młodość brała się stąd, że nie kłął każdego ranka, choć w kamienicy nie było windy. W pewnym sensie listonosz lubił te stare domy, zamieszkane niemal wyłącznie przez starych ludzi, odstawionych już na bocznicę życia. Może dlatego, że nie przychodziło do nich dużo poczty, i torba mu nie ciążyła. Tego ranka nie było inaczej: w klatce 8 A listonosz miał doręczyć jedynie tygodnik „Niebieski Skrzat” dla pani Hallamaa oraz list do pani Almy Skrof. Wchodząc na najwyższe piętro, oglądał kopertę. Adres odbiorcy wypisał najwyraźniej zdenerwowany mężczyzna; w górnym rogu widniał odciśnięty dużymi niebieskimi literami nadruk: „Zgromadzenie Betlejem”.

Kiedy wsunął tygodnik w okienko pocztowe w drzwiach pani Hallamaa na pierwszym piętrze, poczuł gaz i spojrzał w górę. Wszedł na drugie i zarazem ostatnie piętro, a gdy zbliżył się do drzwi mieszkania z pociemniałą tabliczką, na której widniał napis: „Alma Skrof”, smród gazu stał się wręcz nieznośny. Listonosz poczuł w żołądku obrzydliwą czczość. Uniósł kciukiem wieczko okienka pocztowego w drzwiach i wsunął do środka list, a wtedy buchnął mu w twarz odór gazu tak mocny, że listonosz utwierdził się w podejrzaniach. Przekręcił energicznie pokrętko dzwonka. Poczuł, że go mdli.

Zza drzwi nie dobiegł nawet najmniejszy dźwięk. Mężczyzna jeszcze raz zakręcił szaleńczo pokrętkiem i trochę się przestraszył, czując zarazem ciarki na całym ciele. Dozorca aż na ulicy usłyszał

natarczywy dzwonek w mieszkaniu pani Skrof i już wchodził powoli po schodach na górę. Listonosz zszedł dwa stopnie i przechylił się przez poręcz.

— Coś tu jest nie tak! — powiedział. Miał wrażenie, że mówi bardzo spokojnie, lecz głos drżał mu z napięcia. — Z okienka pocztowego okropnie czuć gaz i nikt nie otwiera.

Dozorca energiczniej pokonał stopnie dzielące go od ostatniego piętra i żwawo przekręcił pokrętło dzwonka. Listonosz był jeszcze młody, a dozorca nie zwykł nikomu wierzyć, dopóki osobiście rzeczy nie sprawdził. Za zamkniętymi drzwiami było cicho jak makiem zasiał.

— O tej porze pani Skrof powinna już być na nogach — odezwał się dozorca. — Paniutki też jeszcze nie widziałem dzisiaj na dworze z psem. Aż dziw, że pies nie szczeka! Zazwyczaj warczy już po pierwszym dzwonku.

Listonosz pobladł.

— Ma pan zapasowe klucze od mieszkania? — zapytał niemal szeptem.

Dozorca podrapał się anemicznie po głowie, jak gdyby oczekiwał, że ktoś go popchnie do działania.

— Klucz mam, od regularnego zamka — odpowiedział. — Ale sam pan widzisz, że w drzwiach jest drugi zamek. Ta jędza... pani Skrof, znaczy się... kazała go wstawić dwa lata temu ze strachu przed włamaniem i zawsze wieczorem zamyka go od środka. Nawet paniutka nie ma klucza od niego. Na dodatek w drzwiach jest jeszcze łańcuch...

— Musimy... — zaczął listonosz, zaraz się jednak zreflektował, pomyślał bowiem o swoich obowiązkach oraz o wszystkich

nieprzyjemnościach, jakie się wiążą z wzywaniem policji. — *Pan musi wezwać policję!*

— Policję? — powtórzył dozorca, a w jego przerażonym głosie wybrzmiała cała niechęć, jaką uczciwy obywatel odczuwa do organów władzy. Lecz listonosz wiedział już, że trzeba działać szybko. Szarpnął dozorcę za ramię, by nadać mu prędkość początkową, i razem zbiegli po schodach, zeskakując po dwa stopnie. Dozorca w duchu dziękował Bogu, że pani Hallamaa zdążyła wyjść do pracy. O jedną srokę mniej po drodze.

Kiedy wybiegli z klatki schodowej na chodnik, z bramy wyjechał akurat Pentti, syn mecenasa Lannego, mieszkającego na parterze; u kierownicy roweru dyndały przywiązane paskiem obrzydłe podręczniki. Na widok dozorczy chłopak wzdrygnął się i zrobił minę winowajcy. Dozorca wrzasnął mimowolnie:

— Ile razy ci mówiłem, żebyś...! — Lecz zaraz uprzytomnił sobie powagę sytuacji i urwał w pół zdania. — Chłopcze, skoro już jesteś na rowerze, to sprowadź nam tu czym prędzej pana posterunkowego!

— A co się dzieje? — zapytał potulnie Pentti Lanne, ale w duchu już się cieszył, że choć raz będzie mieć usprawiedliwione spóźnienie do szkoły.

— Chyba pani Skrof zatrzała się gazem. No, jedź już! A ja w tym czasie przyniosę klucz od mieszkania.

Posterunkowy Ara rozpoczął obchód w dziarskim nastroju. Właśnie wdał się na rogu w przyjemną pogawędkę z nader czarującą służącą, gdy niemal rozjechał go zdyszany chłopak pędzący na rowerze z wyścigową prędkością. Posterunkowemu nie trzeba było niczego dwa razy powtarzać, gdyż był człowiekiem czynu,

a poza tym ukończył szkołę policyjną zaledwie pół roku wcześniej. Ma się rozumieć, że biec mu nie wypadało, lecz wkroczył do klatki 8 A lekko zdyszany i akurat w momencie, gdy dozorca wygrzebał wreszcie z szuflady klucz z przywiązanym kawałkiem brudnej tektury. Wypisana na nim szóstka wskazywała, że to klucz od drzwi mieszkania pani Skrof.

Zegar wskazywał wtedy godzinę dziewiątą minut osiem, co można było później wyczytać z raportu posterunkowego Ary.

Klucz na niewiele się zdał. Domysły dozorczy okazały się słuszne. Drugi zamek w drzwiach na noc ryglowano od środka. Drzwi nawet nie drgnęły, mimo że posterunkowy szarpał za klamkę. Uchylił wieczko okienka pocztowego, ale od razu cofnął twarz, bo znów buchnął z niego odór gazu.

— Telefon? — zapytał rzeczowo.

— U mecenasa, pana Lannego, znaczy się. Na parterze! — wyjąkał dozorca.

— Przynieś pan siekiere albo łom. Biegiem! A pan — posterunkowy zwrócił się do listonosza — pan popilnujesz, żeby w tym czasie nikt tu się nie kręcił. Za chwilę wracam!

W rzeczywistości posterunkowy Ara wcale nie był aż tak pewny dalszego ciągu, jak można było wywnioskować z wydawanych przez niego poleceń. Niewątpliwie najsprawniej wszystko by poszło, gdyby nie oglądał się na nikogo, lecz posterunkowy wybrał najpewniejszy tryb postępowania i na wyważenie drzwi postanowił uzyskać zgodę przełożonego. W grę wchodził zapewne nieszczęśliwy wypadek — nieumyślne pozostawienie na noc odkręconego kurka z gazem — jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże i zawsze to lepiej stąpać po pewnym gruncie. Mógł oczywiście wezwać

strażaków, którzy mają maski przeciwgazowe i aparaty tlenowe, ale trzeba by na nich czekać ładnych parę minut, a poza tym nie chciał się z nikim dzielić swoją sławą i chwałą.

Takie myśli kłębiły mu się w głowie, gdy wielkimi susami zbiegał na parter. Pentti Lanne stał zapraszająco w drzwiach mieszkania. Anemiczny i łysy starszy mężczyzna, w którym posterunkowy domyślił się ojca chłopca, próbował nieudolnie nakłonić syna, by wrócił do szkoły.

— Telefon?... — zapytał posterunkowy oficjalnie, choć uprzejmie. Pentti wybiegł przed niego, wskazując drogę prosto do sfaitygowanego ojcowskiego biurka.

Posterunkowy zawahał się sekundę, nim wykręcił numer. Po chwili, sapiąc z przejęcia — wykraczał bowiem poza zakres swoich obowiązków — poprosił do telefonu szefa wydziału kryminalnego komendy miejskiej. Zdawało mu się, że jasno i zwięźle zrelacjonował sprawę porucznikowi Hagertowi — który tymczasowo pełnił ową funkcję — ale gdy odkładał słuchawkę na widełki, uszy miał czerwone.

— Mam tu maskę przeciwgazową — pochwalił mu się zaradny Pentti Lanne, machając zawieszonym na pasku futerałem. — Należę do organizacji obrony przeciwlotniczej. Kosztowała sto marek!

— Och, idź mi z tym do diabła! — warknął rozgoryczony posterunkowy. — Albo poczekaj, daj no to! — rozkazał po chwili namysłu. W końcu musiał coś przedsięwziąć. Do biurka podszedł mecenas Lanne i zaczął nerwowo wycierać okulary w chusteczkę do nosa.

— Myśli pan, że pani Skrof naprawdę...? — zapytał, ale nie bardzo potrafił dokończyć zdanie.

— Muszę wyważyć drzwi — odpowiedział krótko Ara. — Bardzo proszę wezwać telefonicznie najbliższego lekarza.

— Pani Skrof korzystała zazwyczaj z usług doktora Markkoli. Mieszka niedaleko — rzekł mecenas cokolwiek roztargnionym głosem, jak gdyby myślał zupełnie o czym innym. Lecz posterunkowy Ara zdążył już wyjść z Penttim depczącym mu po piętach.

— Dziwne, bardzo dziwne! — mruknął pod nosem mecenas, po czym, mrużąc krótkowzroczne oczy, zaczął wertować książkę telefoniczną w poszukiwaniu numeru doktora Markkoli.

Na schodach posterunkowy wyszarpnął łom i siekierę z drżących rąk dozorca.

— Otwórz pan wszystkie okna na klatce! — rozkazał mu. — I każ pan wszystkim lokatorom wietrzyć mieszkania. Otwórz pan też drzwi wejściowe, co by się zrobił przeciąg. I nie podchodź pan za blisko. Żadnych papierosów. Każ pan wszystkim zgasić wszelki ogień. I załóż pan sobie na twarz mokrą chusteczkę.

Po wydaniu tych zaleceń, które odzwierciedlały całą jego wiedzę o zasadach postępowania w razie ulatniania się gazu, posterunkowy rzucił się po schodach na najwyższe piętro, a za nim, niczym cień, pobiegł wierny Pentti Lanne z przewieszonym przez ramię futerałem maski przeciwgazowej. Listonosz ciągle stał na posterunku przed drzwiami mieszkania pani Skrof. Kaszlał i odczuwał mdłości. Odór gazu był już nie do zniesienia.

## 2.



Czytelnik zapoznaje się wstępnie z komisarzem Palmu, a po chwili ze mną. • W ograniczonym budżecie policji kryminalnej nie przewidziano środków na rozrywkowe przejażdżki dryndami na gumach. • Komisarz Palmu szpera w swoim mózgowym archiwum, po czym wkraczamy do mieszkania pani Almy Skrof.



Była godzina dziewięta dwanaście, gdy do naszego pokoju wszedł porucznik Hagert. W rzeczywistości jest to pokój komisarza Palmu, lecz z braku miejsca — i wbrew woli komisarza — wstawiono tam również moje biurko. Mój przełożony czytał właśnie zwędzoną z dyżurki gazetę, ja zaś przeglądałem protokół przesłuchania uczestnika jakiejś głupiej bójki na noże, starając się, na ile to możliwe, nie zawracać Palmu głowy zbędnymi pytaniami.

Trzeba bowiem wiedzieć, że komisarz Palmu bardzo nie lubi, gdy mu się zawraca głowę podczas lektury gazety. Od czasu do czasu musiałem go jednak o coś zagadnąć, gdyż protokół był w istocie jego dziełem, a wcisnął mi go pod pretekstem, że szybko sporządzam czystopisy. Pisanie raportów to najnudniejsza część pracy w wydziale zabójstw.

Posprzeczałiśmy się o to jeszcze poprzedniego dnia, bo w końcu studiowałem przecież prawo i zdążyłem liznąć nieco literatury kryminalistycznej. Uważam też, że Palmu nie ma prawa traktować mnie jak idiotę, który wyłącznie koneksjom rodzinnym — drugi mąż mojej ciotki jest sekretarzem w Ministerstwie Sprawiedliwości — zawdzięcza wielki honor odbywania u niego stażu. Tak się bowiem składa, że sprawy kryminalne interesują mnie od dzieciństwa, a ponieważ Helsinki w ostatnich latach zaczęły się dynamicznie rozwijać, można wiązać z tą branżą pewne widoki na przyszłość.

— Gdyby miał pan, panie komisarzu, wyobraźnię... — zacząłem, lecz Palmu bezlitośnie mi przerwał:

— Gdybym miał wyobraźnię, kazałbym ją sobie amputować! I zwolnił się ze służby! Na rany Chrystusa, czy człowiek nie może już w spokoju przeczytać gazety?!

Wtedy właśnie, jak wspomniałem na początku, do naszego pokoju wszedł porucznik Hagert.

— Już tu *znów* zawędrowała świeża gazeta? — zagadnął oziębłe komisarza. — Pół godziny jej szukam. Czy pan komisarz nie wie, że miejsce gazet jest w dyżurce? Czas by już chyba zrobić z tym porządek! Skoro ograniczony budżet naszej komendy pozwala na zamawianie po jednym tylko egzemplarzu stołecznych gazet, muszą mieć one ustalone miejsce. Wstydz się, Palmu, dajesz zły przykład młodszym.

— Znałem wielu niewychowanych smarkaczy, ale ten... — zaczął oburzony komisarz, zamilkł jednak i westchnął. — Masz, zabieraj tę swoją gazetę — burknął zgnębiony i obrócił się w moją stronę. — Potrafisz sobie wyobrazić, że karmiłem tego tu Hagerta z butelki,



kiedy jeszcze wierzył na rękach u matki? Uch, mówię ci, cóż to był za brzydal! Z czasem wprowadziłem go na wojenne ścieżki i wystawiłem mu pierwszego włamywacza... A teraz co? Został porucznikiem i woda sodowa uderzyła mu do głowy!

Hagert lekko się zaczerwienił i odchrząknął.

— Do rzeczy — powiedział oschle. — W zasadzie to nie przyszedłem tu po gazetę, nakryłem cię na łamaniu przepisów zupełnie przypadkowo. Ale jak możemy zaprowadzać w tym mieście ład i porządek, skoro tolerujemy ducha bałaganiarstwa i samowoli we własnym miejscu pracy... Ale do rzeczy. Jakiś idiota — nie wiem, kto go zrobił posterunkowym — Ara się nazywa, zadzwonił przed chwilą z pytaniem, czy może wyważyć drzwi mieszkania jakiejś starowiny, która się zacadziła czy zatrula gazem. Żeby dorosły człowiek zadawał takie pytania, przecież ma chyba oczy?! Zdaje się, cholera, że uważa mnie za jasnowidza, który stąd, zza biurka, lepiej oceni sytuację niż on sam na miejscu!

Komisarz Palmu spojrzał na przełożonego z poważną miną.

— My, stare pokolenie, całe życie na to pracowaliśmy — powiedział cicho — żeby dziś opinia publiczna, a nawet policja porządkowa, święcie wierzyła we wszechwiedzę policji kryminalnej. Poza tym Ara to porządny chłopak i dobrze zrobił, że poinformował cię o tej sprawie.

— Kazałem mu działać według własnego rozeznania, wyraziłem jednak nadzieję, że nie będzie się zachowywał jak słoń w składzie porcelany — odparł nieco speszony Hagert. — Obiecałem, że wyślemy na miejsce kogoś z naszych, tak dla formalności. Nabrzeżna 8 A. Pani Alma Skrof.

— Pani Skrof! — wykrzyknął niemal Palmu, po czym wstał i utkwiał zamyślane spojrzenie w cichym o tej porze Rynku. Oczami wyobraźni widziałem już, jak szpera po szufladkach swego przepastnego mózgowego archiwum. — Pani Skrof — powtórzył w zadumie. — Znam, znam. Bogata, stara kutwa. Dwa miesiące temu była tu nawet, w Rynku, u chłopaków z komisji podatkowej. Żądali jakichś dodatkowych informacji i chyba nawet postraszyli ją prokuratorem. Miała też jakiś związek ze Zgromadzeniem Betlejem. Pamiętacie na pewno tę sektę, były już na nich doniesienia. Kaznodzieja Mustapää... Parę brzydkich spraw, ale nic nie zrobimy, bo osoby w to zamieszane to ludzie ślepej wiary.

Hagert nerwowo zastukał ołówkiem w blat, lecz komisarzowi w najmniejszym stopniu to nie przeszkadzało.

— Zaraz, zaraz, mamy coś jeszcze! — mruzczał dalej pod nosem. — O ile mnie pamięć nie myli, starowina była z domu Langell. A ten lotnik amator, Lankela, to jej bliski krewniak, bodajże bratanek. Nazwisko sfińszczył po maturze. Tej zimy zupełnie stracił głowę dla tej tancereczki, co wróciła z zagranicy i zaczęła występować po hotelach. Jak ona się nazywa?

— Nie Iiri Salmia czasem? — poddałem nieśmiało z boku. Tej kobiety nie sposób było zapomnieć. Widziałem ją kiedyś na występie w Grandzie.

— Właśnie ona. Słuchaj no, Hagert, przejechałbym się dla rozrywki obejrzeć to twoje zac zadanie, co ty na to?

— Dobrze się składa, bo właśnie chciałem cię tam posłać, abyś rzucił na to okiem — odparł Hagert. — Ale jeśli nagle zaczynasz mi bredzić coś o tancerkach, kiedy jakaś sfiksowana babcia przed

pójściem spać zapomniała po prostu zakręcić kurek od gazu, to zaczynam się zastanawiać... Tylko, na Boga, Palmu, nie rób tam żadnych scen!

— Bredzić, powiadasz — syknął komisarz, ze złością ściągając kapelusz z wieszaka. Hagert zatrzymał go w progu.

— Weź ze sobą chłopaka — powiedział, wskazując na mnie. Serce podskoczyło mi z radości, bo oczami wyobraźni widziałem już swoją pierwszą prawdziwą *sprawę* i zdążyłem nawet wymyślić dobry powód, którym przekonałbym Palmu, aby zabrał mnie ze sobą. Mój zapał jednak nieco ostygł, kiedy Hagert dodał sucho: — Zobacz przynajmniej, co to jest nieszczęście i co to jest wypadek. Ale nie trać tam za dużo czasu. I pod żadnym pozorem nie narażaj rodziny na niepotrzebne przykrości. Czysta rutyna, dla świętego spokoju.

— Auto jest wolne? — zagadnął Palmu w drzwiach. Komisarz zaczął się już trochę zaokrąglać i na służbie niechętnie korzystał z nóg.

— Na piechotę! — rzucił bezdusznie Hagert. — Jest piękna pogoda!

Palmu westchnął ciężko i zaczął schodzić po wytartych stopniach. Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, wypada wspomnieć, że porucznika Hagerta i komisarza Palmu łączy w istocie niedostrzegalna na pierwszy rzut oka, serdeczna jednomysłność. Tymczasowy szef wydziału zabójstw szanuje ogromne doświadczenie komisarza i praktycznie nie podejmuje wiążących decyzji, zanim nie wysłucha jego rady. Palmu z kolei rzeczywiście zna porucznika od dziecka i przez pewien czas zastępował mu ojca, który też był policjantem i stracił życie w pewnej strzelaninie.

Mieliśmy już wyjść na ulicę, gdy Palmu mnie zatrzymał.

— Co tam trzymasz pod pachą? — zapytał surowo.

Zażenowany, pokazałem mu bez słowa chwyconą w locie teczkę, którą w naszych kręgach nazywa się z przekazem ministerialną apteczką pierwszej pomocy, zawiera ona bowiem wszystko, czego policyjny detektyw może potrzebować, od proszku daktyloskopijnego po gips do wykonywania odlewów śladów stóp. Z inicjatywy krajowego ośrodka kryminalistyki w teczki takie zaopatrzone wszystkie komisariaty w kraju. Stara gwardia miała je w bezgranicznej pogardzie.

— Bądź tak dobry i odnieś to na miejsce — rzekł uprzejmie Palmu. — Może się bowiem zdarzyć, że pod naszą nieobecność ktoś rzeczywiście będzie jej potrzebować. I przestań się wreszcie zgrywać na detektywa amatora. Dzięki Bogu nasz wydział stoi już na przyzwoitym poziomie i do każdego zadania możemy wyznaczyć wyszkolonego technika. Nie jesteśmy na prowincji, gdzie każdy lokalny szeryf przed wezwaniem specjalistów z komendy okręgowej po prostu musi spróbować pozacierać tymi swoimi pędzelkami wszystkie możliwe odciski palców. *Jeżeli* coś wypłynie, zdążymy ściągnąć na miejsce chłopaków z komisji zabójstw.

Z mojej miny wyczytał, że zdradził mi właśnie swoje najskrytsze myśli, i niechący przygryzł sobie język. Poczerwieniał ze złości jak burak i warknął: — Zabieraj mi stąd, do diabła, tę teczkę i wybij sobie z głowy te swoje horrory! To najzwyczajniejszy nieszczęśliwy wypadek. Zakarbuj to sobie w pamięci! I obyś czegoś nie wykrakał!

Zrobiłem, co mi kazał.

Kiedy wróciłem na ulicę, spostrzegłem, że skręca właśnie w uliczkę na rogu Rynku. Gdy się z nim zrównałem, raz jeszcze spojrział smętnie na dwa czarne auta, które — ustawione skosem